

ILUSTROWANY

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie

Rocznik I.

22. sierpnia 1915

Nr. 37.

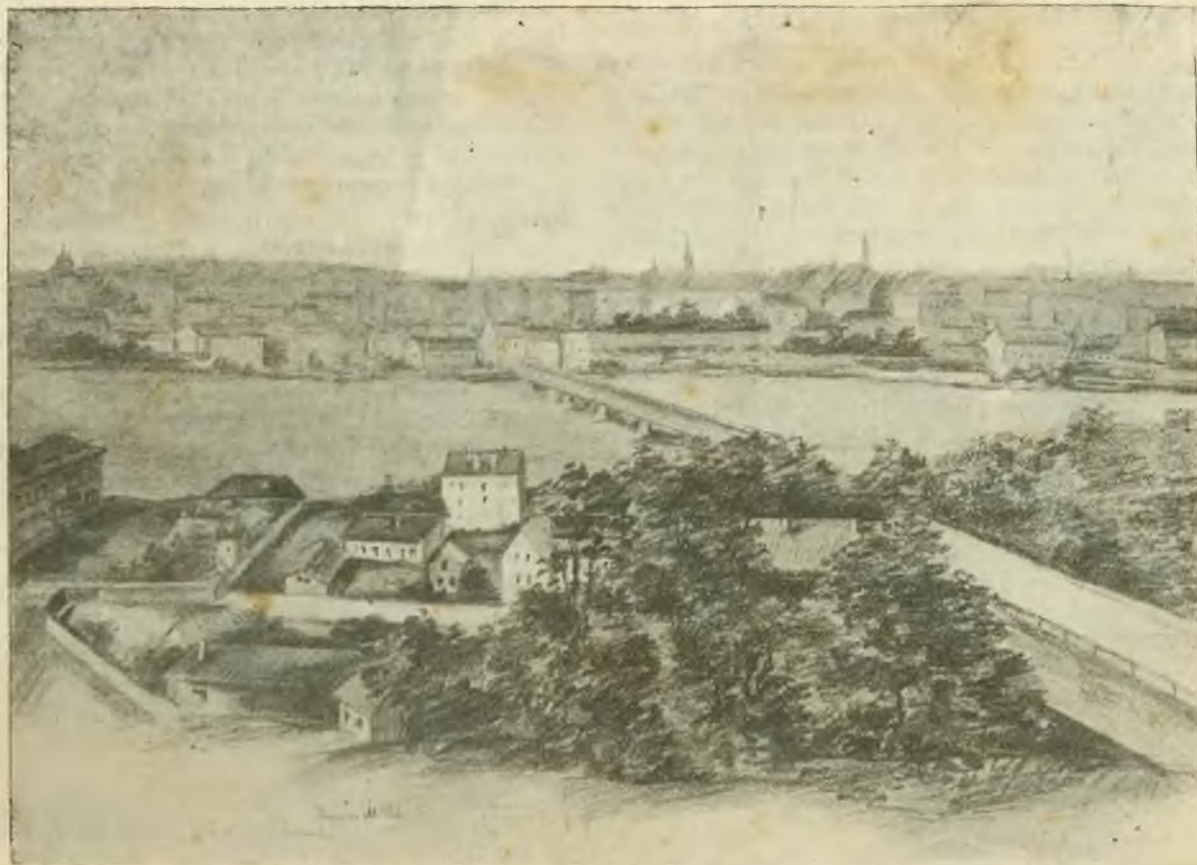
Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2'50

Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12'50 h i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



Z wojny.

Wojska sprzymierzone dążą teraz ze wszystkich stron ku Brześciowi Litewskiemu i jak ostatnie komunikaty donoszą, znajdują się już w niewielkiej odległości od tej ważnej twierdzy — gdyż wojska księcia Leopolda bawarskiego zajęły już cały szereg miejscowości między Warszawą a Brześciem, a więc Siedlce, Międzyrzecz, Miałą siedlecką, wobec czego przypuszczać należy, że w najbliższych dniach sprzymierzeni przystąpią do oblężenia Brześcia, upadek zaś tej twierdzy będzie wielkim sukcesem wojennym o doniosłym znaczeniu dla dalszych operacji wojennych.

Zagrożone są również Wilno i Kowno, a także liczą się mocarstwa czwórporozumienia z możliwością upadku Petersburga.

Jakie będą następstwa zdobycia Brześcia Litewskiego i o ile by się przepowiednie sprawdziły, upadku Petersburga — to dziś trudno orzec, bo zależy to od wielu okoliczności, to tylko można stwierdzić, że katastrofa wojenna Rosyi jest niedaleką. Rosya ma wprawdzie jeszcze obfity materiał ludzki — wyćwiczenie tego materiału wymaga jednak dłuższego czasu, brak zaś amunicji, o którą Rosya stara się na wszystkie strony, uniemożliwia jej wszelką ofensywę, tem więcej, że niespodziewanie szybkie posuwanie się wojsk sprzymierzonych nie pozwala armii rosyjskiej na przygotowanie sobie ochronnych pozycji, na których mogłaby przez dłuższy czas wytrwać i oczekiwać się potrzebego do dalszej walki materiału bojowego.

KADE.

Z walk nad Sanem.

Zacieśniało się półkole.

Gęste tyraliety atakujących podsuwały się zwolna, lecz stałe pod wzgórzem, sięgające daleko, stromą ostrogą w głąb jednostajnej płaszczyzny. Niby fala wezbranej rzeki, uderzająca z wściekłym impetem o brzegi, burząca się i pieniąca zaciekłe — uderzała linia za linią, rwąc i łamiąc przeszkody, cofając się chwilami, by wkrótce z tem większym rozmachem uderzyć.

A wzgórze drżało w posadach i huczało. Grzmot armat wstrząsał ziemię do gruntu. Grzechot karabinów maszynowych, trzask broni ręcznej uderzał fizycznym bólem o uszy.

Co chwila buchały ze stoków kłęby ognia i dymu. Bateria, umieszczone na szanicach, pluły żelastwem. Góra ziała ogniem i zniszczeniem. Spowita chmurą dymów, szarpana pociskami, granatami rozrywana w strzępy — krwawą ludzką posoką zboczona, stosami trupów skryta żyła potokami ognia i deszczem ołowiu.

Piekło tam było. Od godzin wielu ostrzeliwana z armat najcięższego kalibru, zasypywana wprost odłamkami żelaza — broniąca się przed oszalałym atakiem — sama szalała zionąc śmiercią, dysząc okropnie, drząc i dygocząc jak w febrze — kształsząc się w jadowitym dymie i swądzie.

Gorzała cała. W płomieniach stały nieliczne budowle na stokach — żarłoczne języki ognia ślizgały się po potrząskanych konarach drzew, chwytając się pni pościanych kulami, gałęzi zalegających zbocza.

Wśród tego ludzie.

Poszaleli, osmoleni, pochrypli, z oczyma krwią nabiegłymi, z usty spalonymi gorączką, obdarci, brudni i krwawi — walczyli, jak we śnie, jak automaty.

Jedni, leżąc ciągle w tem samym miejscu, całą myśl swą skupiali, by jak najlepiej strzelać, najszybciej repełować. Inni gorączkowo działa obsługiwali. Nikt tu nie my-

ślał o ucieczce, nikt nie pragnął się poddać. Jak osaczone odyńce w kniei — bronili się zaciekłe. Samorzutnie — bez komendy prawie — i beznadziejnie.

Bo padali, jak muchy. Coraz to nowe pociski uderzały w betonowe umocnienia — rwąc je i burząc. Raz po raz okropne wstrząśnienie eksplozyi rzucalo wszystkim o ziemię. Gruz się sypał i piasek.

Rannych od dawna nie było komu zbierać. Zresztą nikt na nich nie zwracał uwagi. Sanitariusze prawie wszyscy już legli. Stosy ciał zalegały stoki tworząc nowewały obronne dla żywych. Tychi ciągle jeszcze wystarczało. Coraz nowe bataliony, pulki całe rezerw zapelniały powstałe w szeregach obrońców luki — pod ogniem sadowiając się w rowach, bądź wciągając w miejsce rozbitych baterij, świeże działa, by po jakimś czasie szalonej walki uledez losowi poprzedników.

Za wszelką cenę starano się obronić tę pozycję — rozbić o nią gwałtowne siły ataku.

Atakujący podsuwali się jednak coraz bliżej.

Nad ich głowami, górą, szumiąły ponurą muzyką przelatujące granaty, brzęczały szrapnele baterij wspierających piechotę, świszczwały własne i wrogie pociski.

Aż jęczało powietrze, rozdzierane co chwila okropnym hukiem eksplodujących wokolo bomb. Rozpryskiwały się z sykiem odłamki żelaza.

I tutaj było piekło — ale i furja ataku.

Wśród gradu kul i ołowiu szli naprzód — kopiąc na prędce schronienia ziemne, korzystając z każdego wgłębienia terenu, z każdej osłony.

Odпочywali chwilę, — by znowu naprzód postąpić.

W ustawicznym huku i ryku armat, oddawna pograżeni w tym chaosie zgielku i wrzawy pogłuchli prawie. Nie wrażliwi na ból i zmęczenie, bez myśli o śmierci, lub ranach — parli naprzód. Gorączka bitewna plonęła w żyłach. Roznamiętnione walką umysł jeden cel miała przed sobą: górę! — jedną żądze: dotrzeć do szczytu!

Ślepi na niebezpieczeństwo, nie widząc nic zgola, ni śmierci, ni krwi — ni ran, ni ludzi... rwali się w górę.

Kilkakrotnie wstrzymani — zalewani wprost potopem stali — po małej przerwie z nową wściekłością rzucali się naprzód.

Dosięgli pierwszych rowów — bagnetem wyparlszy uielicznych ich obrońców.

Siły skupiali do ciosu — do ostatecznej rozprawy.

Wreszcie runęli do szturm.

Naprzód! Hurra-ha! rozległy się oszalałe okrzyki.

Przed siebie! na ogień i śmierć, na kule i rany!

Byle naprzód!

Zakotlowało w szeregach.

Zasypywani piaskiem, ziemią, żelazem rwali naprzód.

Gięły się wpół ich ciała. Krwawily dłonie broń rozpaloną cisnące — błyskały żądłą bagnetów.

Czas jakiś biegli — padając, to znów się wznosząc, lub też zostając po drcdze. Krwia znacząc drogę.

Wreszcie dopadli okopów... Dopadli!

Rzeź się straszliwa wszczęła. Wściekłość ataku z furją się rwała obrony.

Zmilkły osłupieniem armaty.

Zmieszały się szeregi — skłębily niasy żołnierstwa — we wścieklej walce.

Razić zaczęła bagnety — krew bluznęła wokolo — zachrzęściwały łamane ciosami kolb kości. Zawirowały w powietrzu młyńce — i stali świetlne koliska.

Biłi potrząskaną rzuciwszy, dłońmi się zwarli, dławiając się i gniojąc. Padlszy, jeszcze walczyli — zębami szar-

piąc, lub nożem żgając od spodu. Okropni w ślepej obronie. Na śmierć, lub życie!...

Jak lwy walczyli jedni — lecz jak tygrysy drudzy. Z zamkniętymi oczyma rzucali się w wir walki. Po tysiąc-kroć spychani — zrywali się i biegli. Ciągłe ci sami.

Oszałeli — piani żądzą krwi i mordu — ciemni od prochu i brudu.

Rękoma rwali zasieki — dłońmi szarpali przeszkody.

Dziesiątkami zwisali na płotach kolczastych, padali rażeni prądem. Co chwila rozlegały się bolesne okrzyki nadzianych na pale wilczych dolów — żywcem przykutych w pulapce.

Co krok tam śmierć czyhała — inna — tem okropniejsza...

Krew bryzgała wokół. Kawąły rozpryskujących płatów mózgowych latały w powietrzu — z kośćmi czaszek rozbitych.

Lała się wszędzie posoka.

Co moment buchały w różnych miejscach słupy ognia, ziemi i gruzu — masy cale wylatywały w powietrze. Poszarpane tylko ciała i skrwawione kadłuby, lub kończyny spadały deszczem na świeżą ruinę.

Lecz atak nie ustawał — ani nie słabnął.

Miejsce poległych zastępowały wciąż nowe szeregi — zajmowały świeże wyrwy w terenie i darły się naprzód. Pochrypli — oślepli — bez tchu i czapek — z włosiem rozwianym i kudły zlepionymi nad czołem. Z ziemnymi smugami potu na twarzach o dzikim wyrazie, zbryzgani posoką własną i cudzą, w strzępach odzieży — okropni!

Rów za rowem brali. Baterię za baterią. Bagnetem i pięściami.

Próżno silili się obrońcy na opór.

Ciałami swymi i wrogów zapelniali wyrwy i rozpa-

dliny i po trupach szli naprzód — w górę!

Jeszcze jedna linia obronna, jedna bateria i szanice.

Ostatni bój zwycięski stoczyli i stanęli u szczytu.

Po jednym, po dwóch, dziesięciu, gromadami całeni wdzierali się na opuszczone przez wroga okopy — zalewali je ustawicznym przyływem.

Niektórzy rzucili się w pościg.

A reszta już brała świeżo zdobytą pozycję w posiadanie. Praca gorączkowa zawrzała. kopanie świeżych szaniców i rowów — na gruzach dawnych, zaciąganie armat na nowe pozycje, zbieranie rannych...

Tymczasem nowe masy wciąż napływały — by przez zdobyte wzgórce, jak przez podwoje otwarte w front przeciwnika się wdrzeć. Radosne — tryumfujące.

Bitwa przeniosła się dalej.

JÓZEF GALUSZKA.

NOCA.

Wstał księżyc z nad gór i powoli wije srebrzystą wstęgę na ciemnej mórz toni, niteczka srebrna jedna drugą goni, wszystkie się płaczą, zwijają jak żnije. W górze drżą gwiazdy, wieków relikwie, perły, rzucone niegdyś z bożej dłoni... czasem się któraś oderwie, uroni i pada w ręce — jeden Bóg wie — czyje.

Jak tu na fali, tkana srebrem wstęga snuje się w gwiazdach wytyczona droga, a baśnie mówią, że ona dosięga tronowej sali odwiecznego Boga, że po tej drodze poprzód tron ów boski anieli noszą ludzkie lzy i troski.



Warszawa — Pałac w Łazienkach.

JÓZEF GALUSZKA.

Czas już przekuć == oreź w pług...

„W onym czasie miecz za-
mieni się w pług, a spisa
w bronę.” Izaasz.

Czas już przekuć oreź w pług!
Ostrzem stali krajać ziemię,
co pod chwastem martwa drzemie
u rozstajów pustych dróg...
Dość krwi ściekło po bagnecie;
świeżych mogił dość na świecie...
Czas już przekuć oreź w pług!

Dosyć bólów, gorzkich łez!
Bo czy łza nam zda się na co?
Dziś czas dźwigać żmudną pracą
kraj, co w wirach walki zczezł...
Nie z boleścią, lecz z ochotą
iść nam trzeba w przyszłość złotą;
dosyć bólów, gorzkich łez...

Z ponad mogił wstaje świt.
Ci, co legli pod murawą,
swą ofiarą świętą, krwawą
zdobyli nam lepszy byt...
Tylko pracy nam dziś trzeba,
bo zchwaszczona polska gleba...
Z ponad mogił wstaje świt.

Trza do pracy wracać już!
Tylko razem złączyć dłonie
na ojczystym tam zagonie,
co zjałowił w czasie burz;
Bo nie mieczem, lecz pługami
wyoruz przyszłość sami,
trza do pracy wracać już!

Dosyć marzeń, dosyć złud,
dzis od więzów nas wyzwoli
plon stokrotny polskiej roli,
szyfowej pracy trud;
kłósy strzelą z krwawej ziemi
ze ziarnami, ze złotem;
dosyć marzeń, dosyć złud...

Czas dziś przekuć oreź w pług!
Ostrzem stali krajać ziemię,
co pod chwastem martwa drzemie
u rozstajów pustych dróg...
błogosławiąc krew ofiarną,
wysączoną w ziemię czarną,
czas dziś przekuć oreź w pług!

Lipiec, 1915.



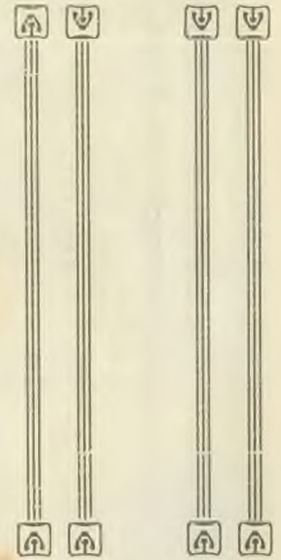
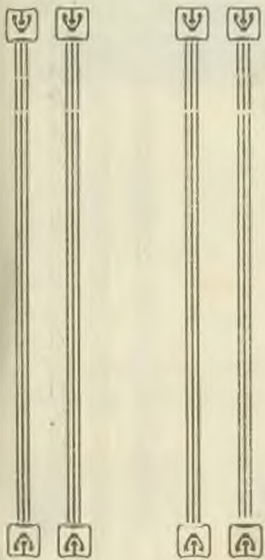
Zamek królewski — w Warszawie.

Początkowe dzieje zamku warszawskiego sięgają wczesnego średniowiecza, łącząc się z historią grodu Warszawy. Ziemowit I. mieszkał jeszcze w Jazdowie, gdzie poległ 1262 r. W pół wieku potem 1313 r., po zgonie Bolesława I, ziemię sochaczewską z Warszawą otrzymał Trojden, zapewne więc przy niej posiadał dwór, jakkolwiek może jeszcze niezbyt obszerny, skoro sprawa Krzyżaków 1339 r. toczyła się w kościele św. Jana. Dopiero pod d. 14 czerwca 1350 r. pierwsza wiadomość o zamku, jako zdawna istniejącym, o czym świadczy obowiązek, włożony na wsi archidyaconatu warszawskiego przez Kazimierza, ks. mazowieckiego, dopomagania do odbudowy zamku warszawskiego.

Od 1377 roku jest Warszawa stolicą księstwa, a dokument z 1379 r. mówi o dwu wieżach zamkowych i branie miejskiej. Również ks. Bolesław, nadając grunta, oznacza je, jako znajdujące się w pobliżu

demii Umiejętności tak o tem pisze: „Fare warszawską św. Jana Chrzciciela ozdobił ołtarzem wielkim, ołtarzem marmurowym, tabernaculum i krają przejrzystą, gipsowem sklepieniem wewnątrz, obrazami świętymi, organem, posadzką, chodnikiem do pałacu i krużgankiem, z zamku wiodącym. Trzy boki lego zamku, pozostałe szczątki dawnego drewnianego, z gruntu zbudował. Bok od strony Wisły, poprzednio z grubsza wzniesiony, przebudował, dodał trzecie piętro z wieżą, odpowiednie na mieszkanie i odbywanie narad, wewnątrz i zewnątrz uczynił je okazałem, wieżę zaś ozdobił godłem.“ Jerzy Braun (1593—1613) mówi: „Zamek niegdyś z drzewa przez ks. mazowieckich od strony północnej miasta wystawiony, potem od Zygmunta Augusta z kamienia i cegły w dobrym guście pobudowany, nakoniec Zygmunt III ci ostatecznie budynki drewniane, które jeszcze w tym zamku zostały, rozrzucił, a natomiast wystawił z kamienia wielce chwalone i dla całości ozdobne.“

Zamek nowy ciągnął się od staroego ku krakowskiemu Przedmieściu, jakby skrzydło murów miejskich. Otaczał go mur podwójny i rowy. Ze skrzydła od Kra-



Warszawa. — Zamek królewski z kolumną króla Zygmunta III.

brany miejskiej i podle dworu naszego, co świadczy, że zamek już wówczas istniał. Ze śladów starych murów okazuje się, że dwór książąt mazowieckich ciągnął się od Kanonii ku Krakowskiemu - Przedmieściu, miał bramę od strony Wisły i dziedziniec, dziś zwany kuchennym. Kształt budowy stosował się do ówczesnego biegu rzeki i murów miejskich. — Pomiędzy dworem a murem miejskim leżały grunta, które książęta rozdawali; tu powstawały nowe budynki, rozszerzające sam zamek.

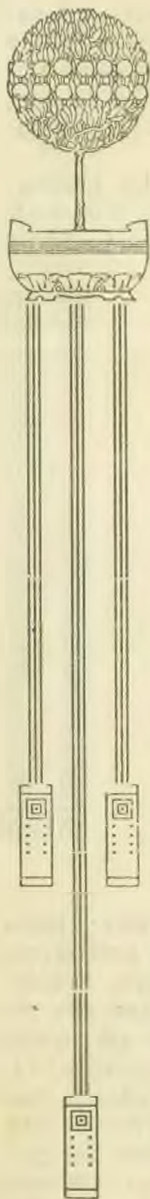
Następną wzmiankę o zamku znajdujemy dopiero w dokumencie z 19 stycznia 1570 r., którym Zygmunt August kazał wypłacić kanonikowi Kasprowi Sedlascie flor. 400 na budowę mostu i dworu warszawskiego; taką samą kwotę wypłacano co tydzień aż do wyjazdu Zygmunta do Knyszyna d. 19 czerwca 1572 r. Była to budowa rzetelna, skoro Stefan Batory wynagrodził sowicie biorących w niej udział. Zygmunt III, zjechawszy do Warszawy d. 18 marca 1506 r., po pożarze zamku krakowskiego w roku poprzednim, zastał już rezydencję gotową, którą dopiero w kilka lat później rozpoczął na nowo budować. Rękopis biblioteki Aka-

kowskiego Przedmieścia wiodły dwie bramy: jedna poprzez zabudowania na dawnych placach książęcych, druga ku Wiśle, w tyle klasztor Bernardynek. Władysław IV w 1643 r. skupił i zburzył przedzamkowe budowle, otwierając wolny dostęp do zamku od bramy krakowskiej i miejsce na pomnik dla swego ojca. Rachunki budowy zamku, złożone przez X. Andrzeja Barskiego za czas od 16 marca 1603 do 17 kwietnia 1604, wykazują sumę wydatków na 9.339 florenów, 29 groszy, 16 szelągów. Oprócz wapna kupnego sprowadzono pozostałe z Jazdowa; cegły użyto 372.000 sztuk, dopomagając sobie dostarczaną z Koziennic; kraty żelazne i posadzki z Gdańska. Wieżę nową zegarową nad bramą zamkową ukończono 4 lutego 1619 roku. Jarzemski 1643 r. tak opisuje świeżo zbudowany zamek: „W dole piwnice, na dole sklepy; dwa rzędy pokojów w koło, w rogach dwie wieżyczki, trzecia wpośrodku z kamienia, wysoka na staję, z galką złotą, sa'e marmurem wykładane, zdobne malowidłami; dziedziniec zamkowy w kształcie czworoboku; od strony Wisły mury, jak forteca, przez Zygmunta wymurowane. Na tym murze biskup wrocławski X. Karol Ferdynand wystawił zamek

z piękną salą, w bok od niego stary zamek z gankiem do kościoła św. Jana “

Klęski, spadłe na Warszawę w drugiej połowie XVII w., zmieniły jej wygląd: runął pałac Karola Ferdynanda, zamek, obrócony na lazaret, niszczał, opustoszał i prawie przez lat sto pozostawał w zanedbaniu. Odnową zajął się dopiero August III; wystawił korpus z frontem i facyatą od Wisły, drugą stroną zwrócony ku dziedzińcowi dawnego zamku, oraz mury sklepione od Wisły pod górą zamkową. Budową i odnową kierował A. Solari, roboty malarskie i 2 obrazy

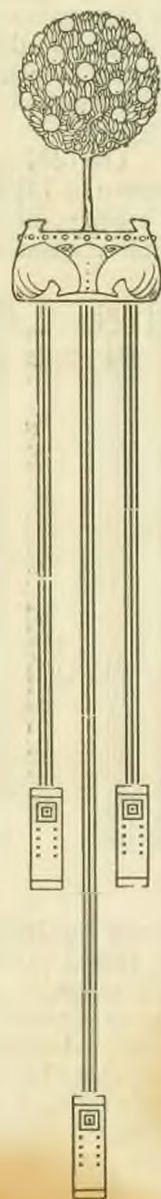
W 1767 r. pożar zniszczył część zamku, którego odnowę objął niebawem architekt Dominik Merlini. W r. 1770—1772 uformowano przejazd z górnego tarasu do Wisły, wzmocniono górę skarpami, zaś brzeg obwarowano tamami. W d. 8 maja 1777 r. pierwszy raz otwarły się podwoje zamkowe dla gości, przerabianie jednak i ozdabianie trwało do 1786 r. Powstała wtedy sala balowa z kolumnadą marmurową o złotych bronzach, oraz sale marmurowa i rycerska. Na ozdobienie jej wysilił się: Canaletti, Bacciarelli, Pilmenti, Bellotti, Piersch, Monaldi, Le Brun, Rhigi, Smuglewicz,



Warszawa. — Izba skarbową.



Warszawa. — Gmach Banku Państwa, dawniej b. Banku Polskiego.



wykonali Bolc, Kucki i Kamer, ozdoby rzeźby i sztukaterie J. G. Piersch, roboty kamieniarskie Stiellot, snycerskie Sedlinger, zaś obrazy pode drzwi Hoese. Roboty trwały od 1741 do 1748 roku, lecz nie zostały ukończone, gdyż konfederacja jeneralna na konwokacyi warszawskiej dnia 7 maja 1764 r. uchwala: „aby rozpoczęta fabryka tegoż zamku kontynuowana i podług podanych abrysów do należytej doskonałości przywieziona była“. W grudniu 1764 skupiono place Rewennowski i Rafałowiczowski, i zniesiono znajdujące się na nich domy prywatne.

Boucher, Vien i inni. Na stropie sali balowej wymalował Bacciarelli al fresco plafon „Rozbudzenie życia świata“. Stały rzędem 22 popiersia z czarnego marmuru, zawieszono 10 portretów w owalach, 8 w izbie przed salą marmurową i t. d.

Na początku ubiegłego stulecia przystąpiono znowu do przebudowy zamku. W 1818 r. zbudowano bramę krakowską. Na wiosnę 1819 r. podług planu Jakóba Kubickiego urządzono ogród przed zamkiem i na tarasie zamkowym, długim na 200 sążni, opartym na mурowanych arkadach.



Msza polowa Strzelców w Kielcach 1914 r.



Rosyjski generał Mikołaj Władimir Ruzskij, komenderujący armią, broniącą drogi do Petersburga.

W 1821 r. podług planów Andrzeja Gołońskiego i Kubickiego rozpoczęto nowe przeróbki, które skończyły się na rozebraniu budowli sąsiednich, dzięki czemu wytworzył się plac zamkowy. W r. 1854 zewnętrzną postać zamku ujednolitył pułkownik inżynier Ludwik Kori. W roku 1893 odnowiono niektóre sale.

Do zamku przytyka „pałac pod Blachą“. W roku 1650 były tam puste grunty, które otrzymał w darze

Wawrzyniec Reffus i wznosił tam kamienicę przy murze zamku, ciągnącym się od schodów do Wisły z jednej strony a ogrodu zamkowego z drugiej. Kamienica owa przechodziła w latach 1720—1776 drogą kupna z rąk do rąk, aż zakupił ją dla króla Stanisława Augusta jego koniuszy i plenipotent, Jan Kicki. „Pałac pod Blachą“, przyłączony do zamku, służył następnie za mieszkanie Mniszcha, a potem Józefa ks. Poniatowskiego.



Brygadyer Józef Piłsudski × ze swym sztabem przed pałacem gubernatora po zajęciu Kielc w sierpniu 1914 r.

1. Szef szt. podpułk Kazimierz Sosnkowski. —
2. Dowódca jazdy Belina. 3. Gustaw Daniłowski, powieściopisarz.





Niemiecki patrol ułański oświetla rakietami pozycje rosyjskie.

Z Warszawy.

Ks. Leopold bawarski wydał do mieszkańców Warszawy następującą odezwę:

„Mieszkańcy Warszawy! Miasto Wasze jest w mocy wojsk niemieckich. Lecz my prowadzimy wojnę tylko przeciw nieprzyjacielowi, a nie przeciw spokojnym obywatelom. Spokój i porządek winien być zabezpieczonym, prawo przestrzegane. Spodziewam się, że obywatele Warszawy nie przedsięwzięją nieprzyjacielskich działań, że zaufają niemieckiemu poczuciu prawa i rozporządzeniom naszych dowódców będą posłuszni. Doszło jednak do wiadomości Naczelnego Kierownictwa armii, że nieprzyjaciel przygotował zamachy przeciw bezpieczeństwu naszych wojsk w Warszawie. Dlatego jestem zmuszony głowy miasta i najbardziej poważanych obywateli wziąć jako zakładników, poręczających bezpieczeństwo naszych wojsk. Waszą jest tedy rzeczą chronić życie swoich współobywateli. Kto więc ma wiadomości o planowanych zamachach jakiegokolwiek rodzaju, powinien — w interesie spokoju i bezpieczeństwa Warszawy — bezzwłocznie donieść o tem władzom wojskowym. Kara śmierci czeka tego, ktoby w tym względzie okazał się winnym zaniedbaniom, albo zgola pomoc dawał zamachom.

Niemiecki wódz zwierzchni
Leopold,

Książę bawarski marszałek polny.

Generałgubernatorem wojennym Warszawy został zamianowany generał v. Arnim, pomocnikiem jego do spraw cywilnych hr. Hutten Czapski, Polak z Ks. Poznańskiego.

Strzelcy warszawscy. W „Kuryerze Narodowym”

(redagowanym przez B. Filipowicza) czytamy, co następuje: Wczoraj rano w kilkunastu punktach miasta ukazały się drobne oddziały naszej młodzieży szkolnej i robotniczej.

Są to kadry legionów, które organizowano w Warszawie od wybuchu wojny, a które zdołały ująć czujności ochrony rosyjskiej.

„Goniec” wystosował do nich następującą odezwę:

„Cześć Wam, młodzieży! Niech za Waszymi przykładem idą tysiące, a wówczas Polska stanie się rzeczywistością, a nie marzeniem tylko. Niech Was Bog prowadzi!”

Agenci rosyjscy. W „Przeglądzie Wieczornym” (redaktor M. Magnuski) czytamy:

„Podobno 400 agentów z ramienia rządu rosyjskiego zostało w Warszawie dla prowokacji. Czyby nie było pożądanem, aby Komitet obywatelski stworzył tajną milicję?”

Piłsudzczy w Warszawie. Na ulicach Warszawy pojawiły się onegdaj umundurowane oddziały strzeleckie z organizacy Piłsudzkiego.

Złodzieje. Zamek królewski ograbili Rosyanie doszczętnie. Wywieziono zeń, jak również z pałacu Łazienkowskiego, Białego Domu i Belwederu nie tylko wszystkie dzieła sztuki i całe umeblowanie i urządzenie wewnętrzne, ale nawet kłamki mosiężne. Pozostały tylko gołe mury.

Ostrzeliwanie zamku od strony Pragi spowodowało w kilku miejscach znaczniejsze uszkodzenie murów. Dobrze zorganizowana opieka ze strony tymczasowego zarządu miasta zapobiegła pożarowi zamku.

Wódz Legionów, brygadyer Józef Piłsudski, bawi obecnie w Warszawie.



Król bawarski we Lwowie.

Z walk w Alzacji:
Starożytny rynek w Altkirch.

† Jerzy Żuławski.

S. p. Jerzy Żuławski urodził się w r. 1874 w powiecie limanowskim. Po ukończeniu szkół średnich wyjechał na studia za granicę i uzyskał w Bernie szwajcarskiem stopień doktora filozofii za rozprawę: „Das Problem der Kausalität bei Spinoza“ (1899). Po powrocie do kraju rozpoczął ożywioną działalność literacką jako poeta, a równocześnie przyjął obowiązki nauczyciela szkół średnich. Sucha praca pedagogiczna nie odpowiadała jednak bujnemu temperamentowi poety-filozofa. Porzucił więc pracę nauczycielską i poświęcił się wyłącznie literaturze i studiom naukowym. W ślad za pierwszymi tomami poezji „Na strunach duszy“, „Intermezzo“, „Stance o Ziemi“, „Poezye“ poszły „Opowiadania prozą“ (1902) oraz tom studyów literackich p. t. „Prolegomena“, „Benedykt Spinoza“, „Studia i Szkice“ (1913).

Równoległe z poezją uprawiał śp. Żuławski niwę powieści, z których największą wartość ma ślicznie skomponowana, na fantastycznych pierwiastkach osnuta, trylogia „Na srebnym globie“, „Stara ziemia“ i „Zwycięzcy“.

Obok powieści najważniejszym działem twórczości Żuławskiego są dramaty, których szereg rozpoczął „Wianek mirtowy“, „Dyktator“ (1903). Największym powodzeniem cieszyło się efektowne widowisko sceniczne „Eros i Psyche“ (1904), grane na wszystkich teatrach polskich, „Ijola“ i „La Bestia“. Ostatnimi dziełami teatralnymi Żuławskiego była „Gra“ (tryptyk), „Koniec Mesjasza“ i „Gród słońca“.

Śmierć śp. Jerzego Żuławskiego jest ciężką stratą dla polskiego piśmiennictwa. Twórczy talent zmarłego w sile wieku pisarza znajdował się w pełni rozwoju i mógł nie jeden jeszcze klejnot dramatyczny i powieściowy przysporzyć rodzinnej literaturze. Jako pisarz narodowy, zapragnął ś. p. Żuławski, wzorem prawych synów ojczyzny, czynem wojennym stwierdzić swą gotowość do poświęceń dla sprawy narodowej. Padł jak

żołnierz na posterunku w wielkim roku wojny, zostawiając po sobie pamięć w sercach rodaków — pamięć nie wygasłą.

Talentowi i zasłudze Jego cześć!



Kuchnia połowa w Galicyi.

Drobne wiadomości. -

Z rosyjskiej Rady państwa w Petersburgu. Na onegdajszym posiedzeniu Rady państwa, zaraz po otwarciu go, marszałek udzielił głosu hr. Bobryńskiemu, który złożył następujące oświadczenie:

Gdy Warszawa dostała się w ręce nieprzyjaciela, Rada państwa nie może milczeć. Poddajemy się woli Boga i czerpiemy otuchę ze świadomości, że ojczyzna nasza przechodziła już całe lata próby i, że im większy jest ból naszej duszy, tem silniejsze jest pragnienie, żeby przeprowadzić wojnę aż do celu. Zadażeniem zwycięstwa jest duch i niezwyciężona wola jednolitej Rosyi. Chylimy czoła do ziemi przed naszymi polskimi kolegami. Odwagi, bracia, cierpliwości jeszcze przez czas jakiś! Także dla was przyjdzie dzień zwycięstwa. Płaczemy nad utratą polskiej stolicy, siostry Rosyi. Ale Rosya nie mówi: bywaj, Warszavo! ale: do widzenia!

Po przemowie marszałka Rady Państwa, który przyłączył się całkowicie do słów hr. Bobryńskiego, polski członek Rady państwa, p. Szebeko, oświadczył co następuje:

Ze wzruszonym sercem wstępuję na tę mównicę, ostatni wypadek dotyka tak silnie naszą ojczyznę i nas wszystkich, Polaków, że trzeba nerwów z żelaza, żeby znieść to cierpienie, zesłane przez Opatrzność. Przed kilku dniami wzruszyły mnie głęboko manifestacje Dumy z powodu nieszczęścia Polski. My, Polacy, zachowamy je w niezatartej pamięci. — Dziś wyrażono nam z mównicy tej Wysokiej Izby sympatye braterskie narodu rosyjskiego dla Polski w jej nieszczęściu. Ale w tem nieszczęściu pamiętajmy o tem, że długi szereg wypadków historycznych zamienił nas na tej ziemi na niepodzielny polski naród o typie wybitnie słowiańskim. Łańcuch żelazny łączy pokolenie dzisiejsze z grobami przeszłości i kolebkami przyszłości. W imię tej lepszej przyszłości proszę pozwolić mi tutaj na uroczyste oświadczenie, że naród Polski nie jest zgnieciony, lecz jest wolny, że nie jest wyczerpany i ujarzmiony, lecz silny, dzięki swej potężnej narodowej sile żywotnej, w przeświadczeniu, że zajmie w godny sposób swoje miejsce w rodzinie słowiańskiej. Będzie on z wami walczył do ostatniego tchu i nigdy nie zdradzi sztandaru Słowiańszczyzny.

Marszałek wznosił następnie okrzyk: Niech żyje naród polski! (Ogólne objawy zapału).

Biblioteki i zbiory naukowe. Według zgodnych relacyj, Rosyanie nie zdążyli zabrać z Warszawy bibliotek i zbiorów naukowych polskich. Ocalały między innymi biblioteki Krasieńskich i Kierbedziów.

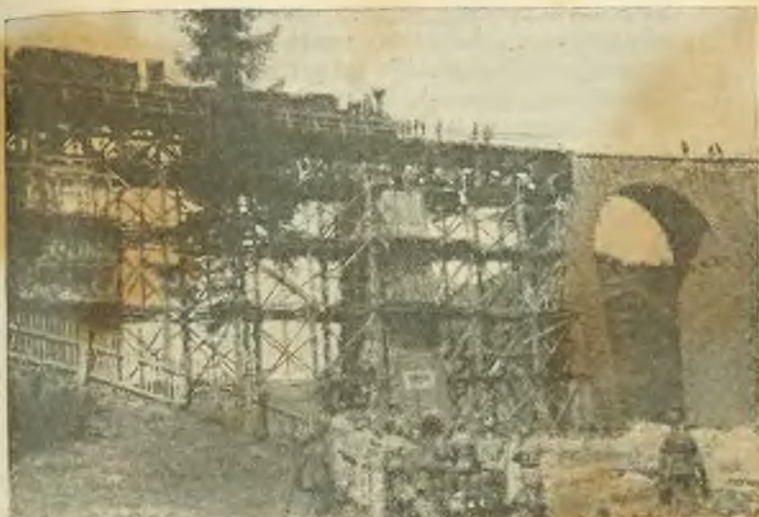


Niemieccy telegraficiści zakładają linę telefoniczną w Radomiu.



Niemiecki generał piechoty v. Gallwitz





Wysadzony przez Rosyan most koło Delatyna w Galicyi.

MARYA KONOPNICKA.

Młody żołnierzu!

- Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
W jaki ty idziesz bój?

— W śmiertelny idę bój.
W śmiertelny trud i znój,
W śmiertelny proch i pył...
W bój, który wiecznie był
I wiecznie trwa,
Idę radosny,
A na promiennym puklerzu
Mej wiosny
Jutrzenka gra!

Wskróś mroków i omdlenia,
Wskróś burzy i zawiei



Car błogosławi kłęczących żołnierzy, aby
w ten sposób wzbudzić w nich męstwo.

Bez chwały, bez korzyści,
Bez wodza i bez roty,
Sam niosąc sztandar mój,
W bój idę wszechkęsknoty,
W bój idę wszechpragnienia,
W bój idę wszechnadziei,
Co dla mnie się ziści,
W ogromny duchów bój

Na śmierć, na skon
Młodość mą niosę,
Pod walki kosę
Jak złoty plon
Ciężki od ros...

Idę cichy, płonący,
Idę w mrokach żarzący,
Na wielkie bojowisko,
Gdzie duchów wszechognisko
Płonie, świeci, rozbłyska,
Lecę — iskra ogniska —
Na całopalny stos!

Może rozwidnięć sobą
Pola ciemne żalobą,
Może sobą ogrzeję
Stygającą serc nadzieję...
Jako się rzuca z szczytów
Gwałtowny z dróej.

Tak, — jasny od jutra świtów
Idę w ten bój,
Co z mojem życiem
I z serca biciem
Jest nierozdzielny...
W bój duchów idę! W bój idę śmiertelny!

— Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
Za co ty idziesz w bój?

— Za wszystko dobre idę w bój,
Za ideałów ołtarz mój,
Za życia moc,
Za życia dróej,

Co dla pokoleń niezrodzonych płynie
W tajemnej czasów głębinie,



Rosyjscy jeńcy na ulicach Łowicza z powodu niedostatecznego umundurowania wyglądają jak mnichy.

Idę przez mrok, idę przez noc,
Wierny przymierzu,
Co duchy w ogniwa sprzęga...
Na śmierć — jest moja przysięga,
Ofiara — jest mój znak.

W bój idę za bratni ul,
Za bratni rój,
Za światło chat,
Za spokój pól...

Idę, by na swem gnieździe mógł wolny śpiewać ptak
By mógł zakwitnąć z pęka biały jutra kwiat,
By ziemia rodzić mogła dla łaknących kłosy,
By usłyszane były tajne wieku głosy,
W pustym dnia gwarze.

Za podniesienie pochylonych głów
W jasny blask słońca,
Za wielką pieśń bez słów,
Którą na dziejów cytarze,
Co świeci chwałą złota,
Na strunach czynów
Z ojców na synów
Nieśmiertelny hymn żywota
Naród — od lat tysiąca
Sam sobie gra!

Ja — skra, ja ruch,
Ja młodość świata!
Ja — życia duch,
Co z mogił rozlata.
Za ideałów ołtarz mój,
Za wszystko dobre idę w bój,
W śmiertelny bój!...

TEODOR KASZYŃSKI.

Przed oblężeniem Krakowa.

I.

Stare miasto-twierdza.

Miasto, leżące na pięknej równinie, otaczał szereg fortów. Myśl i woia ludzka związały je, niby ogniwa, w potężny łańcuch armatnich paszcz. Forty... Nic nie zdradzało tajemnicy ich istnienia, prócz lekkich wzniesień i czerwonych cegieł małych obmurowań. Przed oczyma ludzi skrył się labirynt ścieżek podziemnych, gąszcz kurytarzów, stanowiska załogi, tułów dział. Jeno pyski armatnie wychylały się z otworów — szerokie, otwarte, poziewające w czasie nudy, gotowe jednak każdej chwili do polknięcia wrogów i wydania swych ponurych tonów.

Forty wyglądały niewinnie. Śnieg je białł zimą, a wiosna mała...

Stare, świetne miasto królewskie — ongiś gród władców, stolica państwa, serce kraju i duma Rzeczypospolitej — było twierdzą. Oznaczała to na mapie gwiazdka, jakby ostrza bagnetów przemienione w pojedyncze promienie...

Środkiem jego płynęła cicho rzeka, pagórkom nadbrzeżnym i łąkom szemrząc swą pieśń tysiąclecia, mury zamku całując królewskiego i grzbietem fal swych hołd mu oddając należny.

Stare miasto żyło przeszłością, straciwszy moc swą i chwałę dawną. Ale srebrno-zielonkawa pieśń dachów

wiekowych budowli, gmachy kamieniczne omszałe, dostojęstwa pełne kościoły o wysmukłych wieżycach, szare kamienice, wyglądające tak dziwacznie wśród swych towarzyszek nowoczesnych, jak średniewieczna eleganta na bulwarach obcych, pominiki ze szczyrb w murach od wrogich kul — godnie świadczyły, iż miasto królewskie nie z dorobkiewiczów się wywodzi; tysiąc lat pozostawiawszy za sobą, spokojnie w przyszłość patrzyło. Minionym oparłszy się burzom, nie drżało przed nowymi.

II.

Burza.

A burza szła...

Huragany wydawały się przy niej dziecięcą igraszka, trzęsienia ziemi traciły swą grozę.

Burza szła światem, wstrząsając jego fundamentami tak łatwo i lekko, jak wiatr porusza i targa pajęczynę.

Od oceanu do oceanu płonęła ziemia, niby jedna olbrzymia gromnica zatracenia.

Wybuchła wojna...

U zbiegu granic walczących ludów stało miasto królewskie. Twierdza. Najważniejsza ze wszystkich. Otwierała lub zamykała drogę do wnętrza państwa.

Wiść o wybuchu wojny mieszkańcy twierdzy przyjęli z radością. Miano załatwić rachunek ze zniechęconym wrogiem.



Carowa rosyjska jako sanitaryuszka Czerwonego Krzyża

Echo burzy odbijało się o twierdzą.

Na pogodnej kanwie nieba ukazały się ptaki śmierci — latawce wojenne. Ziemia i powietrze huczały tu odgłosem motorów. Gdzieś z błoń, czy piargów wypłynął aeroplan i dudnieniem swem zwabiał uszy i wzrok ludzi ku górze. Aż wzniosły się pod chmury, bujał swobodnie, zataczając wspaniałe kręgi. I wówczas nie dochodził stamtąd szum motoru... Tylko serca i oczy porwał ten ptak ludzki — piękny, groźny, tajemniczy. Oto pędzi, z zaułków się gdzieś zjawiający, samochód, niosąc przed sobą tumany kurzu i ścieląc smugą dymu pozostawioną przestrzeń. Oto nadciąga artylerya, za nią jazda. Ziemia tętni glucho pod kopytami koni i kół u wozów armatnich. Oto sunie tren, sklejonny, niby druk, i zbity furą do fury, zastoniwszy swe cenne bagaże szaremi plachtami. Oto zwarta masa żołnierzy pieszych krokiem miarowym zdąża przez miasto na plac boju.

Setki samochodów, zwiastujących swe ukazanie się głosem tuby, lub trąbek, tysiące fur, loty aeroplanów, przemarsze wojsk, odjazd pociągów kolejowych, wiozących linią, przerywającą miasto, żołnierzy do wskazanych stacji, głośnie zalecanie roznosicieli pism w celu szybszej rozsprzedaży nadzwyczajnych dodatków, gromady ludzi, z miną pełną tajemniczości, udzielających sobie nawzajem nowinek — wszystko to wytwarzało atmosferę, panującą przed burzą. Już w pobliżu były pioruny, a ruchomy obóz czarnych chmur nadciągał ku jasnemu nieba obłokom, jak straszna, niepowstrzymana lawa.

Ciche miasto królewskie ożywiło się nagle i zdumiało. Wyniosłe, arystokratyczne pałace toczyły o zmnroku gawędę z mieszczańskimi domami szarymi o dziwnym czasie. Zza węglów kamienic, ukrytych w wąskich, staroświeckich ulicach, z oparów rzek, z wież świątyn, z cuchnących piwnic, z dolów gdzieś wyfruwały nietoperze, trzepocąc skrzydłami i niosąc na nich lęk jakowegóż oczekiwania.

W bezmiarze gwiazd panowała cisza. Księżycowe noce śpiewały nieznaną symfonię. Nadsluchiowano szmerów drzew, zwracano oczy ku błyszczącym światłom niebieskim. Do nich zdawała się ulatywać tajemnica, przez dzień trzymająca ziemię w swych nierozwiązanych splotach.

Nadarmo mędrcy i prostaczkowie silili się odgadnąć ją z gwiazd. Myśli ich stamtąd wracały na ciemne gościńce, którymi przebiegł automobil, lub sunęła kolumna żołnierzy.

Bo dniami i nocą trwał ów przemarsz wojsk...

Jak matka, mieszkańcy żegnali wojaków, ruszających na pola chwały i walki. Siny potok mundurów żołnierskich krył się pod pękami różnorodnych kwiatów i zieleni. Wśród kwiecia kryły się też konie, działa, broń, wozy amunicyjne. Na wojnę szli, jako na tany, na śmierć, jak na wesele...

Odprowadzały ich oczy, okryte łzami i radosnym łękiem, odprowadzały gromkie wołania: "Wracajcie zdrowi!". Odprowadzały ich tkliwe słowa bez dźwięku — słowa błogosławieństwa.

A już za dni kilka wracali — z ognia, walki. Ranni... Godzinami toczyły się pociągi z nimi. Samochodem i furą drabiniastą, na noszach i pieszo dążyli oni ku szpitalom. Niejeden miał jeszcze na sobie kwiaty, z którymi ruszył w bój... Piękne, sine mundury rdzawiła krew, wałata ziemia z okopów strzeleckich, pokrywał kurz piasków, stemplowały drobne grudki błota z bagien i rzek. Na niektórych znajdowała się dziura od kuli, inne znały wstęga rozdarcia — czyn szabli, lub bagneta. Żar sierpniowego słońca obronzył twarze i karki uczestników boju. Trudy kilkunastodniowych marszów i walk pobruździły im lica. Niebezpieczeństwo śmierci, któremu nadstawiali życie, u-

czyniło ich wzrok jakiś obojętny na ból swój i cudzy. na dowody nieklamanej sympatii i współczucia mieszkańców.

Lżej ranni szli. Ten rękę niósł na temblaku, ów nogą przebitą, czy przestrzaloną zawijał po kamiennym bruku, tamten opatrunek biały na piersiach poddawał promieniom słonecznym, aż wyciągnęły mu z rany zczerniałą krew, tworząc jakiś niewyraźny monogram, tak jednak łatwy do odczytania...

Przez dzień cały oczekiwały setki ludności przed dworcem kolejowym. Rozeszła się wiadomość, iż pułk, złożony z dzieci królewskiego miasta, w szalonym, brawurowym ataku zmógł liczniejsze zastępy przed sobą, przyczyniwszy się tem do świetnego wycięstwa. Iż bataliony jego, obficie krwią swą zrosiwszy pole walki, przerzedziły się znacznie. Iż oficerowie musieli rewolwerami wstrzymywać zapalczywych żołnierzy od ataku na bagnety, oszczędzając ich życie i krew. Niedarmo wszak piosenka tego pułku rozpoczynała się słowami:

Panie kapitanie! Prowadź nas pan dalej!

Bo my jeszcze dzisiaj chcemy szturmować Moskali!

Więc oczekiwały matki, żony, bracia, dziewczuchy. Któż odgadnie, czy wśród zranionych nie ujrzą tego, którego los spędza im sen z oczu?... Jakoż i takie sceny się zdarzały. Nawet dość często.

Wojna toczyła się ze zmiennem szczęściem.

Mieszkańcy twierdzy dowiedzieli się zaraz w pierwszych jej dniach o tem, że są w obrębie rejonu fortecznego. Władze wojskowe i polityczne wydały szereg rozporządzeń, normujących życie w twierdzy. Jedno z nich poruczało ludności zaprowiantowanie się w żywność na okres trzechmiesięczny. Któż jednak o tem myślał?

— Nic dojdzie tu wróg!

— Hohoho! Nie puszczą nas!

Względy strategiczne każyły cofnąć się przed nieprzyjacielem. Milionowa masa jego zalewała już sąsiednie powiaty. Ślad w ślad dążyła za cofającą się armią. Ta oparcia szukała obok miasta królewskiego — w pobliżu fortów potężnej twierdzy.

Ku niej szła burza wojenna, niszcząc dokoła wszystko. W potokach krwi, łunie pożarów, wśród grzmotu armat.



Nosiwoda żydowski w małym miasteczku w Królestwie.

III.

Odwrót.

Radość mieszkańców przemieniła się w głęboki smutek po przeczytaniu komunikatu sztabu generalnego o rozpoczętym odwrocie.

Złote wesele dni sierpniowych tarzało się wraz z żółkłymi i opadłymi liśćmi drzew w dniach listopada. Przesmutna jesień nie podnosiła nastroju w duszach ludzkich.

Pojawiły się przypomnienia o koniecznej ewakuacji ludności niezamożnej. Doradzano też wyjazd osobom nerwowym, lub obciążonym nadmierną rodziną.

A pierwsza wyniosła się dobrowolnie z miasta radość, następnie spokój i jasny sąd oceniania spraw...

Gorączka zawiadnęła miastem i »cywilami«.

— Czy pani słyszała? Odwrót...

Snuly się bajki.

Jest to nader ciekawe, skąd tylu ludzi uważa się za znakomitych strategików? Buta-by żaden z nich nie naprawił, guzika przyszyć nie umie, obiadu nie zgotuje owa pani, do stu zliczyć nie potrafi ów wyrostek, o szyku bojowym pojęcia niema kawiarniany polityk — natomiast w c-skrzydleniach, atakach, przełamaniach frontów, zdruzgotaniu przeciwnika mają — zdaniem swoim — tak genialne koncepcje, iż dziwić się należy, dlaczego ich szefami sztabu i wędzami nie uczyniono, lub czemu o radę, o zdanie nie zapytają?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOGDAN ZNICZ.

Skarga.

Autor długo nie miał zamiaru dawać do druku tego poemaciku, czego najlepszym dowodem chyba to, że od roku 1908, w którym powstał, trzymał go w swej teczce, aż dopiero dziś, kiedy ten Świt, o którym w nim jest mowa, może już bliski (oby!), dziś go wydaje, bo później może już będzie — zapóźno. (P. R.).

Ponad ziemią niebo jasne
Słońce blaski śle,
A nad łąki kwietne, krasne.
Pieśń unosi się.

Pieśń natury, wszechstworzenia,
Gdy je z zimy snów
Dziś dla Stwórcy uwielbienia
Wiosna budzi znów.

Przez powietrze świeże, ranne
Płynię kwiatów woń,
Płaszcz śpiewy nieustanne
Już mkną w nieba toń.

I już wszędzie słychać głosy,
Wszystkie w jeden ton:
Wszystkie rwą się pod Niebiosy!
O, zagrzmiął i dzwon!

I gdzieś chatę pieśń przenika,
By złączyć się w chór;
Z gaju płynie pieśń słowika,
Płaszki dzwonią w wtór.

A pod lekkim wiatru tchnieniem
Kołysze się bór,
Szumi cicho wraz z strumieniem,
Co się wiję z gór. — — —

Wszystko Tobie, Panie Boże,
Śpiewa w chwałę, w cześć,
Ja Ci tylko, ja nieboże,
Skargę muszę nieść!

Jam nieszczęsny i ma Matka,
Bo ją zamkn. grób!
Ach, ja za nią — ostatka
Wśród jej ciężkich prób.

Nie za sobą błagać będę,
Skargi przed Cie niósł! — —
Żem sierota — szlochać będę,
Bom w niewoli wzrósł!

Matkę - Polskę mi zabili —
Jam po śmierci Jej,
Gdy ją dawno w ziemię skryli,
Wzrósł na ziemi tej.

Pytałem się moich braci:
„Nasza Matka gdzie?”
A oni: „Patrz! Tam jej kaci,
A Ona tu w Śmierci śnie!”

Mile wita porę wiosny
Każdy, co ma Matkę swą!
Lecz jam, Pani, dziś żalony,
A oczy mi zaszyły lzą! —

— — — O, mój Boże, dziś cześć z serca
I hołd chciałem-C' nieść!
Z bólu jam Twój przeniewierca
W chór musiałem skargę wpleść!

Płyńcie, płyńcie światła głosy
Swemu Panu w cześć!
Ja Mu mogę dziś w niebiosy
Tylko skargę wznieść!

Płyńcie, płyńcie moje skargi
Przed Wszech-Stwórcy tron!
Może jeszcze moje wargi
Inny kiedyś dadzą ton!

Obym Boże, obym jeszcze
Wolności obaczył Świt! —
— — — Daj mi choć widzenie wieszczce,
Ze nam on zabłyśnie Świt!!!

(Z n. D. 1908).

" Podczaszanka.

Obrazy z przeszłości

10)

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.

Kiedy się Austriacy w militarnym porządku cofają ku Sandomierzowi, Dąbrowski ze swoim korpusem staje w Łowiczu, prawem skrzydłem opierając się o Częstochowę; ztamtąd zabierając nieprzyjacielskie oddziały w niewolę, rusza na Bolimów, Skierniewice i Błonie ku Warsza-

wie, która zajął na czele przedniej straży generał Amilkar Kosiński, jako gubernator miasta; nasz zaś wódz zbiwszy na głowę Austryaków pod Białą i Rawą, szedł na Piotrków, a przebywszy Pilicę pod Sulejowem, 16-go Czerwca stanął w ówczesnych granicach Galicyi, powitany przez mieszkanców tamtejszych z nieopisanym zapalem.

Po niefortunnej rozprawie Zajęcza pod Jedlińskiem, wskutek czego musiał Dąbrowski cofnąć się, aby Warszawę zasłonić, połączyły się dywizye księcia Józefa i naszego generała 4-go lipca w Radomiu, tym sposobem, że ostatnia tworzyła korpus rzerwowy korpusu głównego pod księciem Józefem, dążąc ku Krakowu.

Nie będziemy trudzić czytelników wszystkimi marszami i kontrmarszami wojsk Księstwa Warszawskiego, sądząc bowiem, że to jedynie specjalistę obchodzićby mogło, nadmienić jednak, że tak połączone dywizye, zabrawszy po drodze rozbitą dywizyę Zajęcza, po dwu świetnych zwycięstwach pod Żarnowem i Książem, stanęły 12. lipca pod murami Krakowa, dotąd będącego w rękach austriackich. Po jednodniowym zawieszeniu broni, w czasie którego toczyły się układy o kapitulacyę załogi nieprzyjacielskiej, nastąpiło poddanie się starożytnego grodu i zajęcie go przez tak dawno niewidziane tutaj wojska. Puste byłyby słowa na opisanie entuzjazmu zacnych Krakowian, o którym zresztą współczesne źródła dają dosyć wyobrażenia; dla ciągłości jednak opowiadania zaznaczamy epizod, który się go bezpośrednio tyczy. Mówię tu o słynnym po dzień dzisiejszy balu, danym przez obywatelstwo Krakowa i jego okolic, na cześć księcia Józefa, w olbrzymiej hali Sukiennic.

Wszystko, co było znakomitszego ówczesnie w nadwiślańskim grodzie, spłynęło do wspaniale oświetlonego gmachu Wielkiego Kazimierza. Nieprzeliczony tłum gości przepelniał stare mury, kipiąc i wrząc życiem, radością i iluzjami przyszłości. Obok złocistych mundurów generałów i oficerów wojsk Księstwa Warszawskiego, przesuwały się świetne toalety krakowskich piękności, obok poważnego kontusza ocierał się złotem haftowany mundur prefektury, albo zielony uniform oficerów rosyjskich z korpusów Suworowa i Siewiersa, stojących równocześnie w Krakowie jako sprzymierzone wojska cesarza Francuzów. W całym zgromadzeniu panowała harmonia i ten rodzaj uroku, jaki zazwyczaj towarzyszy chwilom patryotycznych uniesień. Książę Józef i nasz generał Dąbrowski byli przedmiotem i celem ogólnej czci i zapalu, za nimi, jak za słońcem, zwracały się oczy całego zgromadzenia, współubiegającego się w oddawaniu holdu ich niespożytym zasługom. Wtem, kolo godziny trzeciej nad ranem, wśród ochoczych dźwięków orkiestry i setek par tańczących dziarskiego mazuru, daje się uczuć pewne zamieszanie; przez ciżbę gości przebija się z trudnością wyższy oficer francuski, niskiej i krępej budowy w mundurze głównego sztabu, a odznaki i przewieszona szarfa błękitna dają poznać adjutanta samiego cesarza. Nieznajoma postać oficera, mundur opylony, i zmięty w podróży, znużenie, które obok wyrazu tryumfu malowało się na jego twarzy, zelektryzowały zgromadzonych, budząc powszechną ciekawość. Oficer szedł prosto do księcia Józefa i salutując, prosił go na ustęp w celu udzielenia służbowych wiadomości. Był to znajomy nam już Dezydery Chłapowski, wysłany z głównej kwatery cesarskiej z depeszami do księcia Józefa. Pewien przestрах, jaki zapanaował w zgromadzeniu, łatwo do pojęcia w owych czasach istnych nieprawdopodobieństw, miała się niebawem rozprószyć.

Szczęśliwy był to bowiem dzień dla Krakowa, jak szczęśliwy dla wszystkich mieszkanców dawnej Polski; dzień, w którym mogliśmy obchodzić czterechsetletnią rocznicę pogromu Krzyżaków w bitwie pod Grünwaldem.

Jakoż, po niedługiej rozmowie i odczytaniu depeszy cesarskiej, wyszedł książę Józef z Chłapowskim, udzielając Dąbrowskiemu i bliższemu otoczeniu wiadomości, jaką przyniosła depesza: »Zwycięstwo pod Wagram; zawieszenie broni 12. lipca podpisane w Znaimie.« Pod wpływem pomyślnych wiadomości zapanowała w Sukiennicach ogólna radość; wszyscy generalowie, a szczególnie wódz naczelny byli w złotym humorze, zwłaszcza, gdy im oświadczył Chłapowski słowa cesarskie, w których Napoleon, dziękując armii Księstwa Warszawskiego, za dokonane zwycięstwa tyle przynoszące dywersyi głównej armii francuskiej, zaręczył, że nigdy nie zapomni o tej części kraju. I rzeczywiście, każdemu wiadomo, iż gdyby armia Księstwa Warszawskiego w ciągle zwycięskim pochodzie nie była zachowała 60.000 Austryaków w Galicyi, gdyby Austriacy mogli przynajmniej 20.000 rzucić na główną linię bojową, a w szczególności na pole bitwy pod Wagram, wypadek tej bitwy był bardzo wątpliwym i kto wie, czy już wtenczas potęga Napoleona nie byłaby złamaną, albo stanowczo zachwianą. Korzyści, jakie osiągnęło Księstwo Warszawskie, w tej kampanii są znaczne: po układach w Altenburgu, nastąpił traktat pokoju 14. października, podpisany przez pana de Champagny i księcia Lichtensteina. Dla Księstwa Warszawskiego przyniosły układy tyle korzyści, że rozszerzyły jego granice o 900 mil kwadratowych, podzielonych na cztery ówczesne departamenta, krakowski, radomski, lubelski i siedlecki, prócz czego zyskało jeszcze księstwo połowę dochodów z żup solnych w Wieliczce i Bochni.

Zanadto może daliśmy się unieść wypadkom historycznym, przepominając o działalności naszej podczaszanki, a przecież kampania z 1809 to dopiero początek tego poświęcenia, jakiego w późniejszym życiu składała dowody. Zrozumiawszy obowiązki niewiasty polskiej i małżonki wodza legionów, pojęła generałowa Dąbrowska, że tam, gdzie wojna niesie społeczeństwu zagładę i klęski, zadając śmierć lub kalectwo jednostkom, tam zadaniem niewiast kość cierpienia, przykładając łagodną ręką gojący balsam na rany swych bliźnich. To też widzimy młodziutką generałową oddającą się całą duszą szlachetnie podjętym obowiązkom, widzimy ją z panną Szczaniecką w niestannej pracy nad niesieniem ulgi nieszczęśliwym, zakładającą lazarety, dostarczającą bieliznę wojakom, albo szpitalom szarpic i lekarstwa, ciągle spieszącą za obozem męża, aby zbierać chorych, czy rannych, by wreszcie grzebać na polu walki zabitych. Było to prawdziwie heroiczne zadanie dla kobiety z całym niedoświadczeniem młodości, o bardzo delikatnym zdrowiu, przyzwyczajonej od dzieciństwa do wszelkich wygod i dostatków, a dzisiaj narażonej na straszne przejścia wojenne. W ciągłej fetydze i trudach przebywała generałowa tę ciernistą, zakrwawioną drogę, dopełniając obowiązków Samarytanki, nieustraszona ani hukiem dział ni grozą bitew i wrzawy wojennej, ani wreszcie okropnością ran, których zbliżka dotykać się musiała. Ale pomimo hartu ducha i siły moralnej, siły fizyczne nie wystarczały wielkości poświęcenia. W dwa dni po bitwie leczyckiej zapadła generałowa na zdrowiu i po dłuższej chorobie, dowiedziała się dopiero o końcu wojny. Za radą lekarzy, udała się do Salzbrunn, skąd 20. września powróciła do Krakowa, aby się pobycie w Kraszucowicach u szambelana Jana Kępińskiego, powrócić do ulubionej sobie Winnogóry.

K O N I E C

Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza

1)

— I tak bez żadnego pożegnania — dodał z wyrzutem w głosie — tak sobie, jak gdyby ktoś na spacer wyszedł...

— Pożegnałem się... — odparł Stanisław smutnie. — Kiedyś rękę ojcowską całował, kiedyś usta do tej ręki przyciskał, żegnałem go...

— I z miłością i z uczuciem wielkiem, z którego może

— I z miłością i z uczuciem wielkiem, z którego nie może się wyzuć serce moje, nawet wtedy, gdy jest pełne żalu i goryczy! Był we mnie ten żal, była ciężka, gryząca gorycz, a mimo to w chwili ostatniej coś mną tak targnęło, coś tak jęknęło mi w sercu, że musiał — musiał tę karzącą mnie rękę ucałować...

— A teraz w świat, jak Ezau wydziedziczony...

— Tylko nie płacz, stary — widzisz, że moje oczy suche... Wyjazd — to przecież nie śmierć; zobaczymy się kiedyś, kiedy się serce we mnie wyburzy i twardszem się stanie, niż teraz jest. Ale dziś jechać mi trzeba — trzeba, i nie zatrzymuj mnie, bo kto wie, co by się tu ze mnie zrobiło? Teraz może właśnie stałbym się graczem, szulerem!

Wzruszenie tkliwe minęło, żal do ojca wybił się znów z głębi serca i, czując to, zawołał żywo. — Nie zatrzymuj mnie, nie zatrzymuj i nie dęcz... Niech się stanie, jak ułożyłem sobie, aby nie było gorzej. Wiem to do siebie, że jestem słaby i zabezpieczam się przed tem właśnie — przed charakterem moim!

Jakób spojrział na niego żaleśnie. — Niechby już pan jechał, byle niet tam, do tej Francji, do tego Paryża... To stamtąd zle przyszło...

— Nie, mój bracie, zle lub dobre jest przedewszystkiem w nas, i to, co się stało, wyszło ze mnie. Ale na uspokojenie twoje powiem ci, że ja naprawdę nie do Francji jadę. Wszak wiesz, co to jest Alger? Byłem już tam i opowiadałem ci kiedyś, jaka to kraina. Otóż ja tam jadę...

— Jezus Marya! — krzyknął Jakób — na taki koniec świata, pan się wybiera, gdzie takie pustynie, takie zwierzęta dzikie, ludzie czarni... Może pan jeszcze będzie się tam z Arabami bił?...

— Nie... gdybym się tam kiedy bić miał, to za nich, a nie przeciw nim...

— I z Niewiernymi-by się pan złączył?... Biedaki są, co prawda... Francuziska ich naszli, ale pan Arabem-by został?

— Taki smutek, taka rozpacz była w głosie i w spojrzeniu starego slugi, że Stanisław przyciągnął go sobie do piersi, ucałował w głowę i uspokajał, że do takiej ostateczności nigdy nie przyjdzie — że niewiernym nigdy nie będzie. Pokazał mu, że nosi dotąd na piersi medalik czesko-hawski, od matki mu jeszcze dany, gdy raz pierwszy wyjeżdżał, i prosił, aby mu daremnymi już uwagami nie utrudniał postanowienia, które cofnięciem być nie mogło. Wy tłumaczył mu też, jak się uporządził już ze wszystkim, jak Rębskiemu kancelaryę zdał, sprzęty wszystkie zbył. — Tylko książek trochę zabiorę stąd ze sobą — dodał i wyjął zaraz z szafy bibliotecznej dzieł kilka, przyjął swych starych, jak Jakóbowi je nazwał a było tego tomów kilka: Mickiewicz, począwszy Słowackiego, które niegdyś też od matki dostał, gdy skończył lat siedemnaście i na których

było kilka wyrazów ręką jej napisanych, a które on ucałował ze wzruszeniem: — Niewiernym pod każdym względem nigdy, nigdy się nie stanę, dla tej oto dobrej, dla tej ukochanej, która mi tu święte słowa wiary i miłości kreśliła — powtórzył, uspakajając strapionego człowieka, który na jego zachód już podróżny ze łzami w oczach patrzył.

Wybrał z kolei kilka dzieł różnych i na stół odłożył, a potem z sypialnego pokoju jeszcze trochę drobnych przedmiotów tu przyniósł, razem do upakowania szykując. Była tu i fotografia ojca w którą się wpatrzył smutnym i jak gdyby pełnym wyrzutu wzrokiem. — Nie... takim młodym może nigdy nie będę — rzekł — takiego szerokiego czoła, tak głęboko osadzonych pod nim oczu nie mam i nigdy mi z nich taka siła wyglądać nie będzie, ale mimo to niewiernym się nie stanę...

Zdawało się, że to zapewnienie dać tu jeszcze potrzebował i potem z pewną żywością poprosił Jakóba, aby mu to wszystko, co na stole zebrane było, pomógł w bibułę poowijać. Ale innych swych rzeczy pakować mu nie dał i próżno biedny stary o to go prosił, próżno go, jak o łaskę, chciał o to w ręce całować. — Czy ja już kiedy panu usługę, czy mnie pan już żywego na tym świecie zastanie za powrotem z tej drogi swojej? — mówił i do szafy z sukniemi Stanisława prawie gwałtem się chciał dostać, ale ten drogę mu od niej zastąpił. — Nie... nie... z niecierpliwością prawie mówił. — Z tego, co tam jest, nic ze sobą nie zabiorę, bo tłumaków żadnych mieć nie chcę. Do tych książek oto trochę bliższy jeszcze w najmniejszy, jak można, kuferkę wrzucę i będzie mi tego dość.

Jakób był jak człowiek zabity. Zawiniątko ze swoich rzeczy, jako tako związał i poszedł na miasto furmanki sobie szukać, bo Stanisław mu powiedział, że stanowczo chce, aby dziś jeszcze i przed jego wyjazdem do Starej Wsi jechał. — Czy się pożegnamy godzinę wcześniej, czy później, to już różnica mała — mówił mu przy tym rozkazie.

— Wolę być sam, gdy ten próg przesępować będę, — dokończył — wolę być sam. Zamknę za sobą drzwi, klucz stróżowi oddam tak, jak kiedy wyniesą trumnę z takim umarłym, który nie miał nikogo na świecie, i ruszę przed siebie.

— Ale pan takim sierotą nie jesteś!... — krzyknął prawie stary — czy to ojciec tak już pana odepchnął? Chciał tylko, abyś go pan, jak syn ojca przeprosił...

— I zrobiłem to, ale mu z drogi schodzę, bo potrzebnym nie jestem. Zawiódł się na mnie, że się w niego nie wrodził, i z drogi schodzę...

Jakób rozżalony na Stanisława, poszedł na rynek furmanki sobie szukać. Z miasteczek bliskich Starej Wsi przybywają do Warszawy niemal codziennie mieszczanie z wozami i rozmaitemi produktami gospodarstwa wiejskiego, zabierając chętnie z powrotem podróżnych, za małą opłatą. Stanisław chciał, aby Jakób pocztowym powozem jechał, ale on ruszył na to głową: — Niech marnuje, kiedy już taka jego natura — mruknął sobie — ja przynajmniej oszczędzę mu choć złotych parę, i Bóg wie, w jakiej jeszcze potrzebie znaleźć się może.

Przytem wołał ze znajomym Przybyszakiem na słonie siedząc, noc przegawędzić, a gdy tam ten się zdrzemie, w gwiazdy patrząc, pytać: dla czego to tak ludzie drogi życia sami sobie krzyżują?

Nie wiedział biedak, że dawno przed nim pewien król lewicz duński, to samo zagadnienie przed siebie rzucił i odpowiedzi na nie nie dostał...

(Ciąg dalszy nastąpi.)